

Tak naprawdę Diabeł nie istnieje, ale Człowiek postanowił go stworzyć. Zrobił to najprostszym sposobem. Wyhodował go w sobie.

Powoli budził się z nieświadomości. Początkowo nie czuł niczego – ani bólu, ani chłodu, ani strachu, który czaił się gdzieś w najdalszych zakątkach umysłu, jakby czekając tylko na właściwy moment do uderzenia z mocą, której nie jest w stanie pokonać nawet najbardziej silna wola. Potrzebował dłuższej chwili, aby dotarło do niego, iż siedzi w kucki, nagi, oparty o zimną, kamienną, jak się w pierwszej chwili zdawało, ścianę. Wszechogarniający mrok był tak intensywny, że przełamawszy odrętwienie i zbliżywszy dłoń do oczu, która teraz nieomalże dotykała nosa, w dalszym ciągu nie mógł jej ujrzeć! Straciłem wzrok – pomyślał. Nigdy nie znajdował się w aż takich ciemnościach, aby nie mógł dostrzec własnej dłoni. Do teraz. Wniosek nasuwał się sam, choć starał się nie dopuszczać go do świadomości. Ktoś lub coś spowodowało absolutną ślepotę. Nieśmiało, bojąc się napotkać puste oczodoły, dotknął twarzy. O dziwo wszystko było na swoim miejscu, odniósł tylko wrażenie, iż to, czego dotyka jest dziwnie obce. Po dłuższej chwili zrozumiał, że opuszki palców przesuwają się po zmarszczonej, zarośniętej masce. To była twarz starca! Kim ja jestem? Próżno starał się wyciągnąć z zakamarków pamięci choćby strzęp informacji, która w najmniejszym stopniu wyjaśniałaby położenie w jakim się znalazł.

*

Dwa słowa. Tylko dwa słowa docierały do świadomości. RUDOLF, TOWER. Rudolf, Rudolf, Rudolf. Powtarzał kilkakrotnie zanim zrozumiał, że tak właśnie ma na imię. Z całych sił starał się przypomnieć swoje nazwisko. Bezskutecznie. Po dłuższej chwili zrezygnował. TOWER – ta nazwa nie kojarzyła mu się z niczym, lecz wciąż powracała, wwiercając mu się w i tak bezładne myśli.

*

Postanowił wstać. Zrazu niezdarnie, rozprostowując zdrętwiałe kończyny, z czasem coraz pewniej stawiał kroki na pokrytej kocimi łbami posadzce. Począł obmacywać ściany, które zdawały się być zbudowane z tego samego materiału, co podłoga. Były zimne i pokryte jakąś lepką substancją, o dziwnie znajomym zapachu. Nie był w stanie przypomnieć sobie skąd zna ów zapach. Powoli, krok za krokiem, przesuwał się wzdłuż muru. Napotkawszy załamanie pod kątem prostym, brnął dalej do kolejnego rogu i do kolejnego, aż powrócił w miejsce, z którego wyruszył. Zdjął go strach, graniczący z paniką, uświadomił sobie bowiem, iż pomieszczenie jest szczelnie „wybrukowane” i nie posiada żadnych okien, żadnych drzwi, żadnej drogi prowadzącej na zewnątrz. Pozostała jedyna szansa. Wyciągnął ręce wysoko ponad głowę. To, co napotkał, pozbawiło go wszelkiej nadziei. Opadł na kolana, ukrył twarz w dłoniach i cicho załkał. Sufit szczelnie pokrywał ten sam budulec, co ściany i podłogę. Ociekał tą samą lepką substancją.

*

Poczucie beznadziejnego położenia, w którym się znalazł, powoli, lecz z miazdzącą siłą zalewało świa-

domość. Serce łomotało jak oszalałe wręcz rozrywając żebra, jakby chciało wydostać się z klatki, w której je zamknęto. Świszczący, krótki oddech nie zapewniał odrobiny odżywczego tlenu, a uderzenia gorąca prawie doprowadzały mózg do wrzenia. Pot ściekał strumieniem z pochylonego czoła. Jestem żywcem pogrzebany! Żywcem!!! To jakaś krypta! Ktoś mnie замуrował! Ale dlaczego? Kto? Jak? Kiedy? Myśli biegły z prędkością błyskawicy. Odpowiedzi żadnej. W końcu przyszło odrętwienie, rezygnacja z bezsensownej walki o wyzwolenie się z beznadziejnej sytuacji.

*

Mały, zielony, fosforyzujący punkcik początkowo zdawał się być złudzeniem. Kropka, nie większa niż łebek szpilki, widniała na przeciwległej ścianie idealnie na wprost jego oczu. Poczłgał się w tym kierunku. Dotknął palcem miejsca, w którym widniała, lecz, o dziwo, nie zakrył jej. Teraz widział ją dokładnie na swoim paznokciu. A więc nie stracił wzroku. Pomieszczenie wypełniał tak gęsty mrok, że miał wrażenie ślepoty. Oparł się plecami o wilgotną ścianę i nie spuszczał oczu z malutkiej plamki – isierki nadziei. Krew nabiegła do głowy i zaczęła pulsować w skroniach. Krew, krew... KREW! Przypomniał sobie skąd zna zapach kleistej mazi, oblepiającej ściany i strop. To był zapach krwi!!!

*

Wbrew postanowieniu, nie potrafił skupić uwagi na zielonej kropce. Zapadł w sen, a raczej rodzaj letargu, z którego ocknął się, wyczuwając bardziej niż widząc czy słysząc, zmiany w pomieszczeniu. To, co dostrzegł po otwarciu oczu zmroziło go. Na przeciwległej do plamki ścianie coś świeciło bladym światłem. Z beładnej poświaty wyłaniały się postaci. Powoli zaczął rozróżniać sylwetki małych dzieci. Szły wprost na niego. W miejscu oczu miały puste, czarne otwory. Niektóre pozbawione były kończyn. Innym z wielkich ran na brzuchach wypływały wnętrzności, oblepione larwami much. Odruchowo, z przerażenia, zaparł się o ścianę, jakby chciał przez nią przeniknąć, aby jak najdalej uciec przed okropnym widokiem. Zamknął oczy, lecz obraz nadal trwał. W końcu postaci zaczęły blaknąć, aż znikły zupełnie.

*

Po tym, co ujrzał, nie potrafił już myśleć logicznie. Darł palcami kamienne mury, próżno usiłując pokonać przeszkodę. Nagle oślepiło go jasne, rtęciowe światło. Po raz pierwszy zobaczył siebie stojącego po kostki w brunatnej mazi. Spojrzał na dłonie. Ociekały krwią. Trwało to krótką chwilę, ale wystarczyło, aby stracił przytomność. Kiedy się ocknął, w pomieszczeniu znowu zapadła ciemność. Lecz nie był w nim sam. Czuł wyraźnie czyjąś obecność. Chciał zapytać, kto tu jest. Nie zdążył. Jakaś silna ręka złapała go za gardło i zacisnęła się z taką mocą, że tracił oddech. Ujrzał parę czerwonych, demonicznych oczu, wpatrujących się w niego uważnie. Tak sobie wyobrażał diabła. Był pewien, że sam szatan przyszedł po niego. Usłyszał dziwny, operowy śmiech. W jednej chwili wszystko znikło. Boże, proszę, błagam, miej litość nade mną! – wykrzyczał na cały głos.

*

Kiedy zaczął się uspokajać, łapiąc jeszcze oddech, jak wyciągnięta z wody ryba, ujrzał unoszącą się w

powietrzu, półprzezroczystą postać. Anioł – wyszeptał. Anioł przybył, żeby mnie stąd zabrać! Uchwycił się tej myśli z wielkim entuzjazmem, choć zdawał sobie sprawę, że była irracjonalna. Ale czyż jego położenie nie było irracjonalne? Nie potrafił już odróżnić rzeczywistości od majaków. Nie wiedział, czy to, co widzi, widzi rzeczywiście, czy to tylko projekcja udręczonego przeżyciami umysłu. Postać zaś była na tyle wyraźna, że dostrzegł ogromne łzy, spływające po jej policzkach. Patrzyła na niego z wielkim smutkiem i po chwili znikła. Po raz kolejny pogrążył się w rozpacz. Zwątpił w to, że zdoła się wydostać z tej makabrycznej sytuacji.

Po chwili następne sylwetki zaczęły wychodzić wprost ze ściany. Byli to mężczyźni i kobiety o wygolonych do skóry głowach i przedziwnie poskręcanych wychudłych ciałach. Przechodzili w swoistej paradzie mimo niego i znikali za przeciwległym murem. Kiedy odszedł ostatni, jedna ze ścian rozsunała się. Widok, jaki ujrzał zmusił go do nieludzkiego, straszliwego skowytu.

*

Siedemnastego sierpnia, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, około godziny szesnastej trzydzieści, słuchacze radia BBC usłyszeli komunikat, że tego dnia dziewięćdziesięcioletni Rudolf Höss zginął śmiercią samobójczą w więzieniu w Spandau.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Darksio, dodano 20.09.2011 08:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.